



Nasze wszystkie światła

Jamie McGuire

Young

Jamie McGuire

Nasze
wszystkie
światła

PRZEŁOŻYŁA
Patrycja Zarawska

Young

TYTUŁ ORYGINAŁU:

All the Little Lights

Redaktor prowadząca: Ewelina Sokalska

Wydawca: Małgorzata Świąćicka

Redakcja: Ewa Kosiba

Korekta: Ewa Popielarz

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © anatolij_gleb (Shutterstock.com)

DTP: Maciej Grycz

Text copyright © 2018 by Jamie McGuire

All rights reserved.

This edition is made possible under a license arrangement originating with Amazon Publishing, www.apub.com, in collaboration with Graal, SP. Z O.O.

Copyright © 2020 for the Polish edition by Young

an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Patrycja Zarawska, 2020

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2020

ISBN 978-83-66436-90-9



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiectwo

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

Prolog

Elliott

STARY DĄB, NA KTÓRY SIĘ WDRAPAŁEM, był jednym z kilkunastu rosnących przy Juniper Street. Wybrałem właśnie tego drzewnego olbrzyma, ponieważ stał tuż obok białego płotu o szpiczastych sztachetach, po którym mogłem się wspiąć, by sięgnąć do najniższych konarów. Nie szkodzi, że ręce, kolana i łydki podrapałem sobie do krwi na szorstkiej korze i gałęziach. Ostre muśnięcia wiatru na otwartych rankach przypominały mi, że stoczyłem walkę i wygrałem. Martwiła mnie tylko krew. Nie dlatego, żebym był przewrażliwiony, tylko przez to, że musiałem poczekać, aż przestanie się sączyć, żeby nie wysmarowała mi nowego aparatu fotograficznego.

Dziesięć minut po tym, jak się usadowiłem oparty o pień, balansując tyłkiem jakieś dwadzieścia stóp nad ziemią na konarze starszym ode mnie, szkarłat wreszcie przysechł na otarciach. Uśmiechnąłem się. W końcu mogłem właściwie nastawić aparat. Nie był całkiem nowy, ale dostałem go z wyprzedzeniem jako urodzinowy prezent od ciotki. Zazwyczaj widywałem ją dwa tygodnie po swoich urodzinach, w Święto Dziękczynienia, jednak ciotka Leigh nie cierpiała wręczać spóźnionych prezentów. Nie cierpiała wielu rzeczy, oprócz mnie i wujka Johna.

Spojrzałem przez wizjer, przesuwając go po ciągnących się w nieskończoność akrach trawy, zbóż i łagodnie nachylonych pagórków. Za ogrodzeniami domów stojących przy ulicy, obok której mieszkała ciotka, biegła gruntowa dróżka. Dwie koleiny i pasek trawy – tylko tyle oddzielało podwórka naszych sąsiadów od bezkresnego morza zbóż i pól rzepaku. Krajobraz był monotony, ale gdy o zachodzie słońca niebo barwiło się na pomarańczowo, różowo i purpurowo, byłem pewien, że nie ma na świecie piękniejszego miejsca.

Oak Creek nie przypominało wyludnionego rozczarowania z opowieści mojej mamy, ale okazało się pełne „kiedysiów”. Kiedyś miało nieduże centrum handlowe, kiedyś był tutaj sieciowy sklep wielobranżowy TG&Y i pasaż uliczny, kiedyś działał kort tenisowy i była zadbane aleja spacerowa w parku, teraz jednak budynki stały puste, a okna miały zabite deskami. Dawniej bywaliśmy tu co drugie Boże Narodzenie, zanim utarczki mamy i taty stały się tak gwałtowne, że nie chcieli się wyklócać przy mnie, a najwyraźniej pogarszało się między nimi w lecie. Pierwszego dnia letniej przerwy wakacyjnej mama, po całonocnej kłótni z tatą, podrzuciła mnie do wujka Johna i ciotki Leigh. Zauważyłem, że przez cały czas nie zdejmowała okularów przeciwsłonecznych, nawet w domu. To wtedy zrozumiałem, że zanosì się na coś więcej niż krótka wizyta – że zostaję tu na całe lato – a kiedy się rozpakowałem, ilość ubrań potwierdziła moje podejrzenia.

Niebo właśnie zaczęło zmieniać kolory i pstryknąłem kilka fotek, sprawdzwszy ustawienia. Ciotka Leigh nie była typem ciepłej, miłutkiej osoby, ale najwidoczniej wzbudziłem w niej współczucie na tyle, że kupiła mi porządny aparat. Może miała nadzieję, że będę przez to więcej przebywać poza domem? Nie szkodzi, nie przeszkadzało mi to. Moi koledzy prosili o konsole PlayStation i iPhone’y, po czym zamówione gadżety pojawiały się jakimś magicznym sposobem. Ja niezbyt często dostawałem to, o co poprosiłem, dlatego aparat fotograficzny w moich rękach był czymś więcej niż zwykłym prezentem. Oznaczał, że ktoś mnie słuchał.

Rozległ się odgłos otwieranych drzwi, co odwróciło moją uwagę od zachodzącego słońca. Patrzyłem, jak jakiś ojciec z córką wychodzą na podwórko za domem, ciągnąc rozpoczętą wcześniej cichą rozmowę. Mężczyzna niósł coś małego, owiniętego w koc. Dziewczyna pociągała nosem, miała mokre policzki. Nie ruszałem się i nie oddychałem w obawie, że mnie dostrzegą i zrujnuje to ich prywatną chwilę, na którą się zanosilo. W tym momencie zauważyłem dziurę wykopaną obok pnia drzewa, a koło niej kupkę czerwonej ziemi.

– Ostrożnie – powiedziała dziewczyna. Włosy miała po trosze jasne, po trosze brązowe, a zaczerwienione od płaczu obwódki wokół oczu sprawiały, że zielone tęczęwki zdawały się jarzyć.

Mężczyzna opuścił zawiniątko do dziury, a dziewczyna zaczęła zawodzić.

– Przykro mi tak jak tobie, Księżniczko. Gamoń był dobrym psem.

Zacisnąłem usta. Chichot, z którym walczyłem, był nie na miejscu, ale i tak śmieszył mnie pogrzeb kogoś czy czegoś o imieniu Gamoń.

Z tyłu domu trzasnęły drzwi. Na podwórko wypadła kobieta; jej mocno skręcone, ciemne loki sterczały wokół głowy od wilgoci. Wytarła sobie ręce o kuchenną ściereczkę, którą miała przy pasku.

– Już jestem – wysapała. Zamarła, widząc wykopaną dziurę. – O. Już go... – Pobladła i zwróciła się do dziewczyny: – Tak mi przykro, kochanie. – Wpatrując się w Gamonia, którego łapka wystawała z luźno zawiniętego niemowlęcego kocyka, z każdą sekundą zdawała się coraz bardziej roztrzęsiona. – Ale nie mogę... nie mogę zostać.

– Mavis – odezwał się mężczyzna, wyciągając do niej rękę.

Dolna warga kobiety drżała.

– Tak strasznie mi przykro – powtórzyła i wycofała się do domu. Dziewczyna podniosła wzrok na ojca.

– W porządku, tato.

Objął córkę ręką i przycisnął ją do swojego boku.

– Zawsze ciężko znosiła pogrzeby. Z płaczem.

– A Gamoń był jej maleństwem jeszcze przede mną – powiedziała dziewczyna, ocierając sobie twarz. – Rozumiem.

– Cóż... powinniśmy godnie go pożegnać. Dziękujemy ci, Gamoń, za to, że byłeś taki łagodny dla naszej Księżniczki. Dziękujemy, że siadałeś pod stołem, żeby zjadać za nią warzywa...

Córką zerknęła na tatę, a on łypnął na nią z góry i ciągnął przemowę:

– Dziękujemy ci za całe lata aportowania i wierności, i...

– Za nocne przytulasy – wtrąciła dziewczyna, ocierając sobie policzek. – I za buziaki. I że leżałeś koło mnie, gdy odrabiałam lekcje, i że zawsze tak się cieszyłeś, kiedy wracałam do domu.

Mężczyzna skinął głową, po czym wziął opartą o płot łopatę i zaczął zasypywać dziurę.

Dziewczyna zasłoniła sobie usta dłonią, tłumiąc szloch. Kiedy jej ojciec skończył, postali chwilę bez słowa. Potem zapytała, czy może jeszcze zostać sama, a on jej pozwolił. Kiwnął do niej ręką i ruszył do domu.

Usiadła obok kopczyka ziemi i zaczęła skubać trawę, wyraźnie przybita. Chciałem popatrzeć na nią przez wizjer i uchwycić ten moment, ale usłyszałaby kliknięcie aparatu i wyszedłbym na wielkiego czubka, siedziałem więc nieruchomo i nie przeszkadzałem jej w żałobie.

Siąknęła.

– Dziękuję, że mnie chroniłeś.

Zmarszczyłem brwi, zastanawiając się, przed czym Gamoń ją chronił i czy ona nadal potrzebuje ochrony. Była mniej więcej w moim wieku, ładniejsza od wszystkich dziewczyn z mojej szkoły. Ciekawiło mnie, co przydarzyło się jej psu i od jak dawna Księżniczka mieszka w tym dużym domu górującym nad podwórkiem i rzucającym przez ulicę cień na inne budynki, gdy słońce przesuwano się po zachodnim niebie. Niepokoiło mnie, że nie wiem, czy dziewczyna siedzi tu, na tej ziemi, ponieważ czuje się bezpieczniejsza przy swoim martwym psie niż w środku, w domu.

Słońce zniknęło z pola widzenia. Zapadał zmrok, świerszcze cykały, wiatr szeleścił wśród liści dębu. Zaczęło mi burczeć i gulgotać w brzuchu. Ciotka Leigh da mi popalić, że nie zdążyłem do domu na obiad, ale dziewczyna wciąż siedziała przy swym przyjacielu, a ja godzinę temu postanowiłem, że nie będę jej przeszkadzał.

Wtem otworzyły się tylne drzwi i na podwórko padł pas ciepłego żółtego światła.

– Catherine? – zawołała Mavis. – Pora wejść do domu, kochanie. Obiad ci wystygnie. Możesz tu wrócić jutro rano.

Catherine posłusznie wstała i podreptała w stronę domu. Zanim weszła do środka, zatrzymała się jeszcze i odwróciła, by spojrzeć na grób. Gdy drzwi się za nią zamknęły, próbowałem odgadnąć, dlaczego się obejrzała. Może przypominała sobie, że to się zdarzyło naprawdę i Gamonia już nie ma, a może w myślach żegnała się z nim po raz ostatni.

Powoli zsunąłem się z drzewa, pilnując, by wylądować po zewnętrznej stronie płotu i nie nadepnąć na świeży grób. Chrząst żwirku pod moimi stopami zaniepokoił psy z sąsiedztwa, ale powrotną wędrowkę odbyłem bez problemów – póki nie dotarłem do domu.

Ciotka Leigh stała w drzwiach ze skrzyżowanymi rękami. Wyglądała na zaniepokoją, ale kiedy złowiła mnie wzrokiem, w jej oczach natychmiast zamigotał gniew. Była w szlafroku, co tylko mi przypomniało, jak bardzo się spóźniłem. Na skroni miała pojedyncze siwe pasemko, które to zniknęło w splecionym na boku grubym brązowym warkoczku, to znów się pojawiało.

– Przepraszam? – bąknąłem pytająco.

– Nie przyszedłeś na obiad – stwierdziła, otwierając zewnętrzne drzwi, te z siatką.

Wszedłem, a ona ruszyła za mną.

– Twój talerz jest w mikrofalówce. Zjedz, a potem możesz mi powiedzieć, gdzie się podziewałeś.

– Tak, ciociu – odrzekłem, maszerując prosto do kuchni.

Minąłem owalny stół w jadalni, a kiedy otwarłem mikrofalówkę, ujrzałem talerz przykryty folią. Od razu pociekła mi ślinka.

– Zdejmij tę fo... – zaczęła ciotka, ale zdążyłem już ściągnąć przykrycie, zamknąć drzwiczki i wcisnąć dwójkę na klawiaturze.

Patrzyłem, jak talerz się obraca, skąpany w ciepłym żółtym świetle. Stek zaczął syczeć, a sos i tłuczone ziemniaki puściły bąbelki.

– Jeszcze nie – burknęła ciotka, kiedy sięgnąłem do uchwyty drzwiczek.

Zaburczało mi w brzuchu.

– Jeżeli jesteś taki głodny, to czemu tak długo nie wracałeś do domu?

– Utknąłem na drzewie – odparłem i wyciągnąłem rękę w tej samej sekundzie, w której kuchenka piknęła.

– Utknąłeś na drzewie? – Ciotka podała mi widelec, gdy ją miałem, i poszła za mną do stołu.

Wsunąłem sobie pierwszy kęs do ust i zamruczałem ze smakiem, po czym natychmiast wziąłem dwa kolejne, zanim ciotka zdążyła zadać następne pytanie. Moja mama też dobrze gotowała, ale im byłem starszy, tym bardziej przymierałem głodem. Nieważne, ile razy jadłem w ciągu dnia albo ile wcisnąłem w siebie naraz – nigdy nie czułem się w pełni najedzony. I nie potrafiłem zbyt długo utrzymać jedzenia w żołądku – jakiegokolwiek. Ciotka Leigh skrzywiła się z niezadowoleniem, kiedy zgarbiłem się nad talerzem, żeby skrócić drogę do ust.

– Będziesz mi to musiał wyjaśnić – rzekła w końcu. A gdy nie przestawałem zmiatać obiadu, wychyliła się, żeby mi położyć dłoń na nadgarstku. – Elliott, nie każ mi pytać ponownie.

Próbowałem pośpiesznie przeżuć i przełknąć, tymczasem kiwnąłem na zgodę.

– Tamten wielki dom w dole ulicy, z dębem. Wspiąłem się na to drzewo.

– No i?

– No i kiedy byłem na górze i czekałem na dobre światło, żeby zrobić zdjęcie, z domu wyszli ludzie.



Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 www.facebook.com/kobiece



ul. Andersa 40A

15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059